

André Pieyre de Mandiargues, *Przypływ*¹,
przeł. B. Banasiak, „Literatura na Świecie” 1992, nr 1, s. 213-224.

Julia, moja kuzynka, miała szesnaście lat, ja dwadzieścia, i ta niewielka różnica wieku, która miała stracić znaczenie, czyniła ją uległą moim rozkazom, jakby ona była jeszcze dzieckiem, ja zaś osobą całkiem dorosłą. Było to w sierpniu, w Normandii, tak pięknego i tak upalnego lata, że od niepamiętnych czasów nie widziano podobnego w tej deszczowej krainie. Chodziłem z Julią na plażę i do kopalni marglu pod pretekstem spaceru, łowienia krabów lub poszukiwania skamielin, ale przede wszystkim rozmawialiśmy. Opowiadała o swych pierwszych miłościach z chłopcami spotykanymi na „wieczorkach tanecznych”, na które prowadziła ją matka, i o drobnych przyjemnościach, jakie z tego czerpała, a ja mówiłem o przyjemnościach bardziej intensywnych, jakie znajdowałem w Paryżu u boku wulgarnych dziewcząt w pewnym domu, do którego przychodziły się sprzedawać, a w którym zarządzała otyła dama, w zabawny sposób przypominająca matkę Julii, moją szanowną ciotkę. Wybuchaliśmy wówczas śmiechem lub długo milczeliśmy i patrzyliśmy na siebie, ale nasze stosunki zawsze były zdystansowane i niewinne, choć Julia domyśliła się (spryciara, później mi o tym powiedziała), jak szalenie jej pożądałem, a ze wszystkich części jej ciała — szczególnie ust. Miała bowiem wargi blade i lekko fiołkowo-różowe, natłuszczone wazeliną (by nie pękały), twarz o cerze bladuróżowej, oczy koloru mętnej wody i szarawe blond włosy, obcięte, jak mówią, *à la* Joanna d'Arc, a usta te przybierały wyraz zarazem młody i zwiędły, nieczysty i świeży, z czymś nieprzyzwoicie otwartym i jawnie dziewiczym, co wprawiało mnie w taki stan, że mógłbym przedziurawić ziemię.

Zdarzyło się, że ciotka została zaproszona na polowanie z nagonką w okolicach dolnej Sekwany, Julia zaś, która litowała się nad zwierzętami, nie chciała jej towarzyszyć i wołała zostać sama w zamku. Zaproponowałem tego dnia długi spacer brzegiem morza i powiedziałem, że przyjdę po nią o ósmej rano, że na rowerach pojedziemy do Denderville, a potem pójdziemy pieszo plażą do przełomu rzeki Cuval, i że zjemy w drodze, pod warunkiem, że jak zazwyczaj przygotowuje prowiant. Brała się do robienia kanapek z taką samą starannością i wyobraźnią, że zawsze pozostawiałem jej te starania.

Do Denderville dotarliśmy krótko po dziewiątej, wyruszyliśmy bowiem z niewielkim opóźnieniem (które przewidziałem). Rowery przywiązaliśmy łańcuchem obok budki celnika, zeszlismy na gładkie kamyki, a potem na wilgotny piasek, po którym wygodnie się szło przed

¹ André Pieyre de Mandiargues, *La marée*, w: *idem, Mascarets*, Gallimard, Paris, 1971, s. 7-27.

falami. Obok nas bawiło się troje dzieci; jakaś kobieta, siedząca przy betonowych schodach, robiła na drutach; wkrótce zostaliśmy sami. Szedłem przodem, by nie patrzeć na Julię, o której chciałem zapomnieć, by doznać silniejszego podniecenia, gdy ją odnajdę, i w ten sposób szliśmy bardzo szybko. Ale morze również szybko przybierało, nów zaczął się bowiem przed trzema dniami i był to okres silnego przypływu, największego, nim nastąpią te z września i października. Kiedy fale zaczęły się rozbryzgiwać na piasku, a jedna z nich, potężniejsza, zmoczyła nam stopy, zbliżyłem się do klifu, wzdłuż którego nie było już otoczeków, i dalej szliśmy swego rodzaju kredowym płaskowyżem, gdzie należało uważać, gdyż z powodu zielonej piany było ślisko.

— Jeśli będziemy iść dalej — powiedziała Julia — to zaleje nas morze. Nie dojdziemy do Cuval przed przypływem.

— To twoja wina — odparłem. — Miałas być gotowa wcześniej. Jest jednak zbyt późno i zrobiliśmy zbyt wiele drogi, żeby wracać. Zaraz dojdziemy do znajdującego się przed nami wielkiego piargu, gdzie nie sięgają największe przypływy, i zostaniemy tam, aż morze opadnie. Wówczas będziemy mogli dojść do Cuval i wrócić górą klifu, a jeśli będziemy zmęczeni, to zawrócić tą samą drogą.

Zerwał się lekki wiatr, fale stały się dłuższe i przetaczały się po grzbiecie piaszczystej ławicy, zanim skończyły bieg między kredowymi bułami, podobnymi do głów cukru. Rozbijając się o nie ochlapwały nas, jakby chciały zepchnąć w stronę klifu, o który morze miało wkrótce uderzyć. Spieszyłem się więc, choć niełatwo było iść po takim gruncie. Za sobą słyszałem oddech Julii, która biegła, żeby mnie dogonić, ale się nie odwracałem. Wysoki piarg był o niecałe pięćdziesiąt metrów.

Klify, jak wiadomo, podmywane uderzeniami morza, co pewien czas się zawalają. Tutaj osunęła się cała darń już dawno temu, kreda bowiem przybrała ten surowy i ciemny odcień, jaki zyskuje jedynie po dłuższym czasie wystawienia na morskie powietrze, a zavalona masa musiała być potężna, gdyż podczas odpływu ciągnęła się przynajmniej kilometr w kierunku pełnego morza. Teraz widać było tylko jej trzecią część, a najdalej wysunięte odłamki, te skały, wokół których chodziliśmy, niekiedy łowiąc wielkie skalne krewetki, tonęły w morskiej wodzie.

Wyciągnąłem rękę do Julii, nie patrząc jednak na nią, by pomóc jej we wspinaczce na pierwsze głązy. Słabo wydeptana ścieżka zaprowadziła nas na szczyt piargu i Julia krzyknęła ze strachu, gdyż po drugiej stronie morze rozbijało się już o klif, sięgając aż do wyżłobienia rzeki Cuval, a droga za nami również została odcięta. Na pierwszy rzut oka zobaczyłem, że na piargu nie było nikogo. Do lotu zerwały się wystraszone przez nas mewy, a ich krzyki czyniły

przenikliwy hałas, który na pustkowiu brzmi złowieszczo. Inne ptaki, tej samej barwy, lecz mniejsze, krążyły nad nami, a potem wzbijały się w kierunku klifu.

Mimo nieśmiałych protestów mej kuzynki prowadziłem ją dalej i zszedłem w kierunku czubka tego niby-przylądka. Mniej więcej pośrodku głazy rozstępowały się, tworząc dość obszerną nieckę, gdzie znajdowały się otoczaki, żwir, piasek i niewielka kałuża, z której woda spływała do morza, widocznego z jednej strony w rozstępie między skałami, rzadziej rozszanymi niż w innych miejscach. Właśnie tutaj się zatrzymałem, a Julia zaraz po mnie zeskoczyła do niecki.

— Co mamy robić? — spytała. — Jesteśmy zupełnie sami, a woda tutaj dojdzie.

— Dojdzie do kałuży, ale niewiele dalej — powiedziałem. — Widzisz na otoczkach tę linię alg, zostawia ją przyplływ. Wystarczy usiąść nieco wyżej, a zmoczymy tylko stopy.

Usiadłem tak, jak powiedziałem, i zdjąłem espadryle, a małpeczka, która zawsze mnie naśladowała, zrobiła to samo. Powiedziałem, by chlapała się przede mną; posłuchała. Przyglądałem się jej.

W wodzie po kostki, Julia miała nogi gołe do kolan i nagie ramiona, a jej krótka przezroczysta sukienka odsłaniała resztę ciała pod cienkim materiałem bawełnianym, gdyż nosiła czarny kostium kąpielowy, którego zapinane na guzik ramiączko widziałem w szerokim dekolcie. Pod grzywką jej oczy wyglądały na mokre i pozbawione wyrazu, co sprawiało, że miało się ochotę być tyranem, policzki odrobinę się zaróżowiły, a usta, których, jak mówiłem, pragnąłem ponad wszystko w świecie, nawet gdy się nie uśmiechała, osłaniały błyszczące w słońcu ząbki. Ukrywając podniecenie najlepiej jak potrafiłem, nakazałem jej, by się zbliżyła.

— Podejdz do mnie na czworakach — powiedziałem. — Twoja sukienka i tak jest mokra, a zdążysz ją uprać, zanim wróci matka.

Moja mała czarująca kuzynka zrobiła tak, i z bliska ujrzałem jej deszczowe spojrzenie i uśmiechnięte teraz usta, gdy oparła o moje kolano lekko zaokrąglony podbródek. „Mogę wszystko”, myślałem w upojeniu, kładąc rękę na jej szyi, by sprawdzić, czy również z drugiej strony znajduje się guzik od ramiączka i czy to właśnie ten trochę niemodny, dziwaczny kostium, który dla swej córki wybrała ciotka Julia.

— Widzisz — powiedziała — mam kostium kąpielowy. Jeśli chcesz, zdejmę sukienkę i będziemy mogli zejść między skałami i popływać nad morskimi wodorostami.

— Nie — powiedziałem i obiema rękami odpiąłem jednocześnie oba ramiączka. — Masz zdjąć kostium i zostać całkiem naga pod sukienką. Zabawa w ryby między algami jest nieciekawa. Zajmiemy się inną zabawą.

— Chętnie — powiedziała, dziwnie na mnie patrząc, po krótkiej chwili, podczas której wyglądało, że się zastanawia.

Chwiejąc się ściągnęła przede mną pod sukienką czarny kostium, wyjęła najpierw jedną, potem drugą nogę, położyła go na kamieniach i poczułem ciepły zapach potu. Była wyraźnie naga pod gdzieniegdzie zmoczonym i zabłoconym płótnem, na którego białym tle kwitły różowe bukiety, i widziałem jej ciało równie wyraźnie, jak przed chwilą, lub jeszcze lepiej, gdyż wiatr przyciskał materiał do jej brzucha i piersi. Usiadłem nieco wyżej, przy dość gładkiej skale, a na występie drugiej zawiesiłem zegarek z bransoletką, żeby wygodnie móc patrzeć na tarczę. Obok położyłem numer lokalnego dziennika „La Vigie”, a potem zwróciłem się do kuzynki, mówiąc, by usadowiła się jak najbliżej, nie przygniatając mnie jednak.

Gdy znalazła się niemal na mnie, ponownie położyłem rękę na jej szyi i ramieniu, i pieściłem pod sukienką ładne, twarde piersi, a ona nawet nie pozorowała obrony lub zdziwienia z tą wspaniałą i czystą nieprzyzwoitością właściwą młodziutkim dziewczynom. Jednocześnie pokazałem jej w gazecie godzinę przyływu, przypominając, że „La Vigie” podawała czas normandzkich chłopów, a więc należało dodać godzinę, by otrzymać czas letni, nasz, czas Paryżan na wakacjach i mieszczuchów. Toteż jako porę przyływu tego dnia zamiast dziesiątą czternaście należało odczytać jedenastą czternaście. Zegarek, bardzo dokładnie wyregulowany, wskazywał dziesiątą czterdzieści. Do rozpoczęcia odpływu mieliśmy więc nieco ponad pół godziny.

Słuchała mnie z otwartymi ustami (co było bodaj jej naturalnym odruchem). Gdy jej wyjaśniłem, na jakim całkowitym pustkowiu znaleźliśmy się na naszej wyspie, czy też niemal wyspie, dodałem, że już od dawna byłem spragniony i pożałowałem tych ust, tak jak człowiek zbłąkany na pustyni potrzebuje chłodnej wody, i że teraz nic mi nie przeszkodzi, będę sycił pożądanie i zaspokajał palące pragnienie.

— Pocałujesz mnie w usta — powiedziała całkiem gotowa.

— Mylisz się, wcale nie pocałuję cię w usta — odparłem. — Ale weźmiesz mnie w usta, tak jak — opowiadałem ci (a sprawiałaś wszak wrażenie, że rozumiesz!) — brały mnie w usta dziwki u Madame Regina. Zostanę w nich tak długo, jak morze będzie przybierało, ponad pół godziny, widziałas, a w tym czasie, by uniemożliwić ci paplanie, które wypchnęłoby mnie na zewnątrz, wyjaśnię ci mechanizm przyływów. Będiesz uważać zarazem na to, co będę ci mówił, na to, co będę robił w twoich ustach, i na morze, które przybiera teraz wokół nas tak, jak wzbiera we mnie pożądanie. Punktualnie o jedenastej czternaście, gdy morze znieruchomieje, rozleję się w twych ustach. Powinnaś wiedzieć, że nie

łatwo w ten sposób nad sobą panować, mam jednak w tej dziedzinie niejaką umiejętność, mimo że jestem niewiele starszy od ciebie. Podczas tego zabiegu będę więc potrzebował skupienia i ty także musisz się skupić. Myśl usilnie o tym, czego pragniesz, o sobie, o mnie, o kimś, kogo byś kochała, lub o czymś, na co masz może ochotę, a przede wszystkim próbuj odczuwać narastanie mego zmierzającego do spełnienia pożądanego. Gdy rozleję się w twym gardle, bez sprzeciwu i z radością połkniesz, to konieczne, życiodajny dar, który tam złożę, i pomyślisz o tym darze jako o rezultacie wielkiego ruchu morza, który właśnie zachodzi. Ja zaś nie będę ci musiał mówić, o czym w tym czasie myślałem.

Popatrzyła na mnie zdumiona i w jej wyglądzie znalazłem tak niewiele z kobiety, a tak wiele z dziecka, że odczułem niemal litość. Żadne jednak współczucie nie było zdolne złamać mego pożądanego. Poza tym pokładałem pewne nadzieje w projekcie tego zabiegu dokonanego na niewinnej, w tym odosobnionym miejscu i w tak wyjątkowej chwili, a słabością było posunąć się tak daleko i potem wycofać. Powiedziałem więc Julii, że nie ma już czasu do stracenia i by usadowiła się między moimi rozstawionymi nogami. Policzek oparła na moim udzie i przez materiał spodni poczułem rozpaloną skórę. Łagodnie pieściłem dłonią jej włosy, niezwykle puszyste, choć niezbyt gęste, i myślałem, że choć są tak przyjemne w dotyku i jedwabiste, nie będą zbyt mocne; moja biedna ciotka Alina nosiła skądinąd perukę; często śmialiśmy się ze „skalpu” ciotki Liny.

— Głuptasku — powiedziałem bardzo czule do Julii — drogie jagniątko, chcę dla ciebie jak najlepiej, mam dla ciebie główkę soli, na którą zlakomiłaby się każda owieczka...

Jedną ręką zamknąłem jej wówczas oczy, a drugą przez chwilę pieściłem twarz, przesuując palcami po wargach, których nigdy jeszcze nie dotykałem, muskając ząbki, ostre kły i trzonowce, muskając zwiczny język i dziąsła. Szczęki, których wcale nie zaciskała, przekonały mnie o jej posłuszeństwie i gotowości. Stale zamykając jej powieki, szybko się obnażyłem i obróciłem lekko w bok, uniosłem jej głowę i władczo (w pewnych sytuacjach należy bowiem okazać władzę) wszedłem w kwiat jej ust. W tej samej chwili mała fala, przepływając między głazami, które otaczały nasze miejsce, dotarła do kałuży u naszych stóp z cichym pluskiem, jaki robi przy zanurzeniu wydra lub bóbr. Uspokojone naszym bezruchem mewy, zatoczywszy wokół kilka kręgów, znów usiadły w sąsiedztwie, i słyszeliśmy ich krzyki ponad falą.

Julia oddawała się mej przemocy, jak topielec wzburzonemu wodom. Chwilę po wejściu przestałem przytrzymywać jej powieki, a ona, otworzywszy oczy, ujrzała najpierw wściekły narząd rzucający się zapamiętale na jej usta, ale zaraz uniosła oczy i jej spojrzenie spotkało się z moim, z wyrazem osłupienia i uległości, jakiej nigdy u nikogo nie widziałem.

Jedną ręką obejmowałem jej głowę i nadawałem jej lekki i powolny ruch, zgodny z rytmem fal i regularnymi poruszeniami bioder; toteż można by rzec (gdyby ktoś nas śledził), że był to swego rodzaju taniec lub intymna i szczególna gimnastyka, która zbliżyła nas na tej kamiennej ławie, w głębi tego małego skalnego amfiteatru, oblewanego wokół falami przyływu. Drugą ręką pieściłem jej ciało pod sukienką, która była równie szeroka, jak krótka, i której pasek odwiązałem, by nic nie przeszkadzało pieszczotom. Nie było nic łatwiejszego niż zdjąć tę sukienkę, i Julia z pewnością by nie protestowała, gdybym to uczynił, tak jak oczywiste było, że mogłem z nią zrobić wszystko, bez najmniejszego z jej strony sprzeciwu, ale to liche odzienie, ubrudzone z przodu i z tyłu, czyniło z niej ofiarę w sposób, który wydał mi się zachwycający, i wolałem brać w dłoń jej duże piersi, obejmować szczupłą talię, przesuwając ręką w dół ładnego, gładkiego brzucha i przeszukiwać najbardziej kędzierzawą część jej młodzieńczego runa, pod zasłoną zadrukowanego płótna, tak pospolitego, że ledwo nadawałoby się na zasłony w pokoju guwernantki. Bukieciki mają dla mnie moc...

— Czy wiesz — spytałem — że aluwia naniesione przez przyływy morza nazywa się niekiedy „aluwiami adamowymi”? Czy przyczyna tak szczególnego określenia, pomyślałem nagle, nie wiąże się jakoś z podobieństwem między tego rodzaju wielkimi kiszkami a tym, co wsuwam w głąb twych ust? Być może nie my pierwsi usłyszeliśmy nakaz natury i przystosowujemy się do rytmu przyływu. Ażeby nie próbowała odpowiedzieć, mocniej pchnąłem biodrami i chyba uderzyłem ją w usta, gdyż cicho jęknęła. Następnie mocniej zacisnęła wargi; miałem wrażenie, że rozrywam wilgotny kwiat, i wyobraziłem sobie, że wędruję we wnętrzu bladej róży. Ogarnęło mnie tak płomienne podniecenie, że poczułem zbliżający się koniec, należało więc pilnie zrobić coś w celu opóźnienia go, jeśli chciałem spełnić to, co sobie przyrzekłem i co zapowiedziałem Julii.

Zacząłem wówczas mówić, spoglądając na tarczę zegarka, by dostosować się do zjawiska, i długo wyjaśniałem Julii przyczyny przyływów i odpływów morza, jakimi znamy je z obserwacji starożytnych i z teorii współczesnych uczonych, objaśniałem jej cykl przyboru i opadania wód w zależności od faz księżyca, tłumaczyłem codzienne czterdziestośmiominutowe opóźnienie, któremu podporządkowany jest ten podwójny ruch. Wtajemniczona została jeszcze w odchylenia zachodzące w cyklu, którego krańcowymi punktami są pływ duży i pływ mały; dowiedziała się o istnieniu i roli syzygii, a także o wpływie zrównania dnia z nocą. Podczas gdy tłumaczyłem, przysuwałem i odsuwałem głowę młodej dziewczyny tak, jakbym poruszał kołyską dziecka, która mnie również kołysała, morze wokół nas wdzierało się we wszystkie zagłębienia piargu, zalewało wyłobienia.

Bryzgi wody rozlewały się wokół skał osłaniających nasze schronienie, a niewielkie przedłużenia zewnętrznych fal bieły po powierzchni kałuży, liżąc już stopy mej kuzynki. Mewy znów zerwały się do lotu i poruszone krążyły z wrzaskiem, który z każdą chwilą jeszcze narastał. Nigdy nie zdarzyło mi się znaleźć w tak bliskim i intymnym kontakcie z naturą; czułem, jak przepływa przeze mnie wielki życiodajny prąd, który krąży między planetami i być może sięga najbardziej odległych gwiazd, uczestniczyłem w czymś w rodzaju oddechu wszechświata; zamiast jednak utracić świadomość i błędzić w kosmicznym wirze, czułem, że moje zdolności obserwacji silnie się wyostrzyły. Miałem jednak pewien punkt oparcia, który uwalniał we mnie energię, a punktem tym była róża, w którą wrosłem — usta Julii.

Ona także od czasu do czasu spoglądała na zegarek, słuchając mnie z chciwą uwagą, a jej twarz przybrała wyraz powagi, jakiej u niej nie znałem i do jakiej, jak sądziłem, nie była zdolna. Wielokrotnie zauważałem dziwny, erotyczny związek zachodzący między nauczycielem a uczniem, zwłaszcza gdy są odmiennej płci, nigdy jednak nie miałem okazji sprawdzić, tak jak czyniłem to teraz, zasadności tego spostrzeżenia, które jest zresztą banalne. Omal się nie uśmiechnąłem i oddaliłem nieco od celu, ku któremu oboje, uczennica i belfer, zmierzaliśmy. Rzut oka na zegarek przywołał mnie do porządku, gdyż do pory zakończenia przyływu brakowało nie więcej niż sześć minut.

Przerwałem nagle wykład, zakończywszy opisywać „zapórę” w Quillebeuf, powróciłem, myślą w każdym razie, bo moje palce go nie opuściły, do pięknego ciała Julii i wzmożłem pieszczoty, zwiększając ich rytm. Jednocześnie bardziej intensywnie starałem się wyobrazić sobie przyływ morza wokół nas, i po kilku minutach tak zespoliłem się z żywiołem, iż wydało mi się, że we mnie morze podnosi się tak, jak wokół; powiedziałem o tym Julii w kilku pospiesznie wyszeptanych słowach, a ona dała mi znak, że z nią działo się podobnie. Jedenasta dwanaście. Wiatr ucichł, zelżał szum fal przyboju, lecz napięcie sięgało szczytu, i od kolan po kark odczuwałem coś w rodzaju potencjalnego szczęścia, które miałem nadzieję dzielić z bezmiarem wód przyciągniętych przez księżyc. Wreszcie nadeszła pora; nie musiałem patrzeć na zegarek, miałem bowiem przecucie szczytu w chwili, gdy morze znieruchomiało, i wówczas przelałem swoje szczęście w usta Julii. Czy ta gwałtowna fala jakoś ją zdziwiła, choćby swą obfitością, skoro dokładnie znała czas, w którym jej gardło zostanie wypełnione? Nic na to nie wskazywało. Połknęła wszystko tak, jak jej nakazałem. Tkwieliśmy nieruchomo w milczeniu, jedno przy drugim, rzec by można, zamienieni w głązy. Potem wstałem, by doprowadzić nieco do porządku ubranie. Gdy wróciłem na miejsce, Julia

otarła się o mnie i zauważyła, że musimy czekać blisko trzy kwadranse, nim morze wystarczająco opadnie, byśmy mogli kontynuować spacer.

— Mamy czas, by się jeszcze pobawić — powiedziała.

Było mi niemal wstyd, że litowałem się nad nią i myślałem o jej oszczędzeniu.

— Nie — odparłem. — Przyszliśmy na piarg nie dla zabawy, lecz po to, by się kształcić. Teraz już będziesz wiedzieć, co to jest przyływ.

Paryż, październik 1959.